

28

...sy; wygięte mocno do góry, dotykały prawie oczu artysty ostro wyciągniętymi szpicami; po prostu jakby stały deba. Nadawało to jego twarzy demoniczny wyraz. Głos jego brzmiał donośnie i pewnie. Nie gestykulował, trzymał się dość sztywnie jakby podany stałej samokontroli. Patrząc tak na niego nie mogłem obronić się przed uczuciem że robi on wszystko celowo, z rozmysłem, z pozą.

Odczyt miał tytuł „Picasso i ja”, co dość dziwnie brzmiało mając na uwadze megalomanie i egocentryzm Salvadora Dalí; po usłyszeniu powiedział: „Moje imię wskazuje na to że przyszedłem zbawić współczesne malarstwo przed rosnącą tepotą i chaosem”; „Postanowiłem złączyć w jedną całość doświadczenie kubizmu i „boską proporcję” Lukasa Paccioliiego oraz oczyścić je z tego ostatniego osadu dialektyki materialistycznej jakim jest ateizm i surrealizm i nawrócić do wielkiej tradycji malarstwa i realistycznego malarstwa hiszpańskiego”; „Nowa epoka malarstwa mistycznego zaczyna się teraz na mnie” — można się było spodziewać raczej tytułu „Ja i Picasso”.

Z wielu rzeczy, które powiedział Dalí w swoim odczycie, słusznych czy niesłusznych, przytoczę kilka. Odczyt jego był jednym nie kończącym się dytyrambem na własną cześć, nieustannym podkreślaniem jego niezwykłych kwalifikacji artystycznych, a przede wszystkim, znaczenia ogromu jego postępowania w świecie współczesnej sztuki. „Los powierzył mi rolę Mesjasza na pustyni jakim jest dzisiejsze malarstwo religijne w Hiszpanii” — mówił. W głosie jego brzmiała mentorstwo, ale dziwnym, oryginalnym, ludzkiem niedziennym tupetu, pewnym siebie i — powiem to bez zamiaru obrażania nikogo — pozerom, dużo a nawet wszystko się wybacza. Takie zdanie: „Nad teatrem Marii Guerrero, przenikniętym smugami światła elektrycznego, przedmiotem w tej chwili światowej uwagi, przepływa jeden z największych czarodziejów XX w., mąż wdzięku osobistego, twórca nuklearnego Olimpu, bóstwo które może być tylko utożsamiane z jego prototypem, t.zn. z Salvadorem Dalí”, jedynie ludziom szarżującym, opętanym paranoją może ująć bezkarnie. Słuchający zaczyna nie rozróżniać co jest rzeczywistością a co halucynacją; Dalí dla osiągnięcia efektu ucieka się nawet do karykatury i przesady; zdolnościami do komizmu i groteski zdradzał nie był jakie walory gry aktorskiej. Słuchałem ze zdumieniem zdania wyrażonego w trzeciej osobie: „Inkarnacja kolosalnego mitu jakim jest Salvador Dalí pociągnie za sobą wszystkich którzy znajdują się w zasięgu jego magnetycznego działania, nawet wbrew ich woli”. Bardzo dowcipnie brzmiały jego wywody na temat mnogości geniuszy rządzących się niby szare gęsi na tym świecie; ale nie omieszkał zaraz uspokoić publiczność zapewnieniem że przecie nie ma 9 milionów nowych Picassów, 10 milionów Einsteina i 12 milionów Salvadorów Dalí, bo gdyby tak było, to na pewno ziemia stałaby się nie-możliwa do zamieszkania.

Ponieważ w tytule występowało nazwisko jego krajana i to na pierwszym miejscu, więc naturalnie i o nim było trochę mowy, ale nie tak dużo jak o prelegencie. Przed zakończeniem odczytu powiedział że liczy się z tym iż ten iberyjski, anarchistycz-

...amy ze Zgrozą ze nikt nie umie ani kowym artystom — mówi — zależy tacja i myślowe odwołanie oryginalnym w oczach

MOJ POBYT w Paryżu „na emigracji” pobrzeżskiej, w latach 1934-1936, ułożył się, po niedługim etapie wstępnym, mniej więcej pogodnie. Uplwał mi na samym życiu w tym jedynym mieście, na oglądaniu muzeów, na rozmowach z przyjaciółmi, na nieczęstych doraźnych zarobkach, wreszcie na niezbyt systematycznej pracy w Bibliotece Narodowej, w Ste. Genevieve i w Bibliotece Polskiej. W kraju jeszcze, rozpoczęłam większą pracę nad bilansem handlowym Polski sprzed wojny i w pierwszym dziesięcioleciu niepodległości. Rękopis w stanie surowym zabrałam do Paryża; skończyłam go już po powrocie do Warszawy, na krótko przed wojną, ale nie zdołałam go ani wydać, ani nawet uratować.

Gdy tak moje życie układało się już w niejaka rutynę, zmaconą tylko niepewnością, kiedy okaże się możliwość powrotu do kraju, 13 maja 1935, w gazecie, jaką kupowałam z rana na stacji kolei podziemnej, zobaczyłam wielką fotografię Piłsudskiego i nad nią napis „Le maréchal Piłsudski est mort”. Wrażenie było przejmujące. Chodzący w Warszawie od niejakiego już czasu słuchający o jego ciężkiej chorobie, ale tyle było plotek wokół osoby Piłsudskiego że przestano im dawać wiarę. Śmierć Piłsudskiego była końcem pewnej epoki w historii Polski, którą przeżywałam od samego początku, i zarazem otwierała drogę na przyszłość — nie wiadomo jak. Pewne było tylko to że muszą nastąpić niemałe zmiany, bo styl rządzenia był zbyt związany z osobą Piłsudskiego, by można go było zachować bez niego. Słabą stroną dyktatury, niezależnie od ich charakteru, jest niemożność utrzymania ciągłości rządzenia gdy dyktator schodzi ze sceny.

Śmierć Piłsudskiego pozwałała zarazem na spokojniejszą niż dotąd ocenę jego dorobku jako całości oraz jego roli w naszej historii. Przestał być przedmiotem uwielbienia czy nienawiści jako człowiek, a stał się bliższą, ale historyczną już postacią. Nikt nie wydrze z karty dzieł niewątpliwego faktu że to on właśnie przewidywał trafnie bliski wybuch wojny między państwami zaborczymi i przygotowywał młodzież do wystąpienia zbrojnego, aby Polska nie była w tej wojnie przedmiotem sporu między zaborcami, ale podmiotem samostannym. W pierwszych dniach niepodległości wokół niego skupiły się siły które miały tworzyć zręby odbudowującego się państwa. Wszyscy rozumieć że było to rzeczą naturalną — bo nie było nikogo o równym autorytecie. A potem była wojna sowiecko-polska, z dwoma głównymi akcentami: klęską polską pod Kijowem i zwycięstwem polskim pod Warszawą. Sprawcą ich obu był Piłsudski. W latach dalszych,

*) Urywek ze zbioru wspomnień, który się ukazał nakładem B. Świdarskiego w Londynie. — Por. „Wizyta parlamentarna” w nr. 831, „Sąd nad Korfantym” w nr. 835, „Brześć. Jak się zaczęło” w nr. 851, „Brześć, Rutyna i niespodzianki” w nr. 857, „Brześć. Zwolnienie i po zwolnieniu” w nr. 860, „Proces brzeski. Preliminarium” w nr. 876, „Proces brzeski. Widzowie i świadkowie” w nr. 881 oraz „Proces brzeski. Oskarżyciele — Obróńcy — Ostatnie słowa” w nr. 883 i „P.P.S. w sejmie” w nr. 903 „Wiadomości”.

ADAM PRAGIER

P 21/0 W R Ó T

kraj leczył się z ran wojny; lepiej radził sobie z gospodarowaniem niż z rządzeniem się. Piłsudski tego nie ułatwiał. Demokracja polska, robotnicza i chłopska, która z zrazu chciała być jego podporą i ufała mu jako powołanemu przywódcy, mogła się rozwijać już tylko w walce z nim, coraz ostrzejszej. Dyktatura ma swoje własne prawa rozwoju, których nie zdoła zmienić ten co ją sprawuje. Toteż i Piłsudski, pod koniec życia, był już inny niż Komendant którego witano w Warszawie 11 listopada 1918.

Ala jak to będzie wyglądało z dalszej perspektywy historycznej? Historia przeprowadza nieraz bezlitosne rewizje. Sprowadza do szczyptych rozmiarów wydate wielkości i wymierza sprawiedliwość ludziom, których znaczenie za życia było pomniejszane. A obok historii istnieje nie mniej ważny czynnik, mitu i legendy. Jak w ich świetle będzie wyglądał Piłsudski? Za wcześnie jeszcze, być może, na ostateczną odpowiedź. Ale świat ulega teraz tak szybkim przemianom że okres 28 lat, jaki dzieli dzień dzisiejszy od odejścia Piłsudskiego, jest wystarczający na odpowiedź, przynajmniej prowizoryczną. I oto wydaje się że historia będzie notowała skrętnie wszystko co w Piłsudskim było wielkie i co było małe. A legenda wiele mu przebaczy i uwładni tylko to co będzie krępujące na dzień dzisiejszy i na przyszłość. Przepali go w swoim ogniu, wyrzuci liche żużel i pozostawi sam czysty metal. Powstanie z tego Piłsudski, nie całym taki jaki był za życia, ale i w tym legendarnym przetworzeniu będzie podtrzymywał i umacniał naród w walce. Tak było już w Polsce w czasie okupacji i tak jest teraz na emigracji. Nie wszystko to tak wyraźnie uświadamiałem sobie w chwili gdy miałem w ręce ową gazetę paryską z 13 maja 1935, ale wnet nabrałem co do tego zupełnej pewności. Są i niebezpieczeństwa legendy. Wielki człowiek, prawdziwy czy urojony, skupia koło siebie mnóstwo ludzi, którzy mu służą i często czerpią z tego korzyści. Nieraz bywa że przewijają swojego patrona i dalej żywiąją się jego legendą. Piłsudski skarżył się pono nieraz że „oblaży go wszy”. Ale są przecie sposoby pozbywania się insektów, wcale nie tak trudne. A może żadna dyktatura bez weselek obywać się nie zdoła? Zastanawiałem się też gdy nadchodziły gazety z Warszawy, jak te wszelkie same teraz będą się urządzały i jak sobie spożytkują legendę, którą dotąd żyły. Nie były to rozważania całkiem akademickie, bo wiązała się z tym dla mnie sprawa decyzji powrotu do Warszawy. Rozumiałem że w obozie rządzącym musi być teraz niesłychane zamieszanie, bo nikt nie wie co począć. Można być użytkownikiem dyktatury, a także użytkownikiem legendy, ale żadną miarą nie można być spadkobiercą legendy. Wszelki musią tedy rozpocząć gospodarowanie na własny rachunek albo uciekać

w poplochu. Wybiorą zapewne to pierwsze. Były dwie możliwości. Albo będą udawali że właściwie nic się nie stało, bo Marszałek odszedł, ale duch jego pozostał i oni go reprezentują. Albo też dojdą do przekonania że nie wytrzymają zbyt ostrych napięć i spróbują powrotu na drogę „bartolonia”, z lat 1926-1928.

Nie od razu się to wyjaśniło. Już w nocy z dnia 12 na 13 maja, Prezydent zamianował generalnym inspektorem sił zbrojnych gen. Smięgo-Rydzę. Było to wypelnienie luki w hierarchii wojskowej. Wchodziła w grę także kandydatura gen. Sosnkowskiego, ale górę wzięła Smięgo-Rydzę, który był „zastępcą Komendanta”, gdy Piłsudski i Sosnkowski przebywali w Magdeburgu. To wskazywało że Piłsudski ma dalej rządzić z zaświatów, że wskazania i opinie, jakie w różnych czasach wypowiadał o sprawach i o ludziach, mają nadal służyć do decyzji, co i jak trzeba robić w przyszłości. Można było w taki sposób załatwić rzecz stosunkowo prostą, jak mianowanie nowego generalnego inspektora sił zbrojnych. Ale nie podobna było, wskazaniem Piłsudskiego z za grobu oświecać sobie drogę na przyszłość, w zagadnieniach politycznych, choćby z tej racji że życie przynosi zagadnienia coraz nowe i inne. Już trudno było pozyczyć się prezydenta Mościckiego, mimo że Piłsudski chciał by po wejściu w życie nowej konstytucji Mościcki odszedł a miejsce jego zajął Stawek. Teraz Mościcki postanowił na swoim miejscu pozostać, i trudno go było ruszyć.

Były przy tym „dwa obozy”, oba wiernie jakoby wyklądające intencje Piłsudskiego. Obóz „prezycencki” mówił że Piłsudski istotnie chciał aby Stawek zajął miejsce Mościckiego, ale nie wiedział przecie że życie jego się skończy zanim nowa konstytucja wejdzie w życie. Gdyby żył, mógłby być Stawkiem kierować. Bez Piłsudskiego, Stawek na urządzie prezydenta nie da sobie rady, i takiej sytuacji Piłsudski wcale nie przewidywał. A obóz Stawka mówił że wolę Piłsudskiego trzeba spełniać dosłownie, tak jak ją wypowiadał, nie wdając się

w zawodne interpretacje. Jak widać, przypominało to spory średniowieczne o właściwe pojmowanie słów Pisma św. W istocie szło o to, kto znajdzie się przy władzy. W rezultacie, gdy Mościckiego próbowano zmusić do posłuchu, już nie argumentami teologicznymi, ale dymisją Stawka jako premiera, zagrożeniem dymisji przez Becka i odmową utworzenia rządu przez różnych kandydatów na premierów, których sobie Mościcki upatrzył, znalazł on wyjście nieprzewidziane. Odwołał się do drugiego garnituru w zespole piłsudczyków i mianował premierem płk. Mariana Zyndramo-Kościałkowski. Znałem go z sejmku jako jednego z kilku „swoich ludzi”, jakich Piłsudski pomieścił w „Wyzwoleniu”. Niczym szczególnym się nie odznaczał, ani w swoim klubie, ani w sejmie, ani później w rządach pomajowych w których brał udział. Ale też nie można było powiedzieć o nim nic szczególnego. Był komparsem, nadającym się do roli „stop-gap”, na jakiś czas.

Wysnułem z tego dla siebie wniosek że nacisk w kraju z pewnością musi zelżeć, choć wybryki administracji dalej będą się zdarzały, bo nie znalazł się jeszcze nowy dyktator, a bez dyktatora nie ma dyktatury. Piszę „dla siebie”, bo z taką oceną sytuacji wiązała się moja decyzja powrotu. Właściwie w zasadzie już ją powziąłem, skoro tylko rozjechałem się co się dzieje. Szło o wybranie odpowiedniego czasu. Rozgarniasz w obozie rządzącym musiał być wielki, skoro targi z Prezydentem ciągnęły się tak długo że Kościałkowski mógł utworzyć rząd dopiero na jesieni 1935. Jak długo potrwa, zanim się zarysuje linia polityczna jego rządu? Sądziłem że nie dłużej niż kilka miesięcy, czyli w ciągu r. 1936 z pewnością będę mógł powrócić. Dla ostrożności przeczekałem do początku lata 1936 z poczynieniem ostatecznych kroków. Doszedłem do przekonania że jest mało prawdopodobne, by chciano mnie przetrzymać w więzieniu przez trzy lata. Na krótki okres więzienia byłbym przygotowany. Podjąłem więc, z początkiem lata 1936, kroki formalne potrzebne do powrotu. O mojej decyzji powiadomiłem Liebermana, który także przebywał w Paryżu; nie chciałem aby był nią zaskoczony. Przyjął wiadomość dość pogodnie, choć sam był zdecydowany pozostać w Paryżu. Gdy wyjeżdżałem, odprawił mnie na dworzec.

Kroki formalne, jakie wypadało podjąć, były dwa. Pierwszy — uzyskanie w konsulacie w Paryżu nowego paszportu zagranicznego i drugi, nie mniej ważny — porozumienie się z prokuratorem sądu okręgowego w Warszawie. Po wyjeździe pięciu więźniów brzeskich z kraju, rozesłano za nimi listy gończe, więc przy przekroczeniu granicy policja powinna mnie była zaaresztować. Wcale mi się nie uśmiechała taka podróż z policjantem do Warszawy, wprost do więzienia, bez możliwości zobaczenia się z kimkolwiek i załatwienia różnych spraw

osobistych. Zwróciłem się tedy do konsula generalnego płk. Kary i powiadziłem mu, że mam zamiar powrócić do kraju i proszę, żeby przesłał prokuratorowi moje podanie. W tym podaniu napisałem że chcę niedługo do kraju powrócić, ale nie mogę oznaczyć ścisłej daty, gdyż nie wiem ile czasu zjedzie mi na załatwieniu spraw osobistych w Paryżu. Ponadto, chcę uniknąć aresztowania na granicy; proszę więc prokuratora o udzielenie mi 10-dniowego urlopu więziennego, który ma się liczyć od dnia przekroczenia granicy. Zapowiedziałem że po przybyciu do Warszawy zgłoszę się u niego osobiście. Po kilku tygodniach zatelefonował do mnie płk. Kara z wiadomością że nadeszła od prokuratora odpowiedź przychylna i że czeka na mnie paszport. Przebywałem w Paryżu jeszcze kilka tygodni, po czym ruszyłem do Warszawy.

Policja w Zbąszyniu musiała być uprzedzona o mojej podróży, bo przy oddawaniu paszportu do mojego przedziału wszedł komisarz, przyjrzał mi się i ładnie się ukłonił. Do prokuratora zgłosiłem się nazajutrz po powrocie. Doręczył mi kartę stawienia się do więzienia, z wyznaczoną datą i godziną, z uprzejmym policzeniem 10 dni, nie od dnia przekroczenia granicy, ale od zgłoszenia się u niego. Miałem więc przed sobą cały ten czas do rozporządzenia. Zgłosiłem się od razu do sekretarza generalnego P.P.S. Pużaka, który rezydował przy ul. Wareckiej, w tym samym domu, co redakcja „Robotnika”. Zastąpiłem tam Arciszewskiego, przywitaliśmy się bardzo serdecznie. Pytali o Liebermana, dziwili się że postanowił nadal pozostać „na emigracji”. Byłem też na najbliższym posiedzeniu komitetu okręgowego Warszawa - Podmiejska, skąd poskowiłem przez 10 lat, aby przywitać się z nie widzianymi od dwu lat z górą towarzyszami. Wreszcie poszedłem do Wolnej Wszechnicy Polskiej, by złożyć wizyty rektorowi Wiewegerowi i dziekanowi Gliwiciowi i wyraziłem nadzieję, że będę mógł chyba po niedługim czasie powrócić do pracy. W „Ziemiańskiej” spotkałem Kistera, dyrektora „Roju”, który gdy dowiedział się, że za kilka dni mam pójść do więzienia, wpadł w pasję i ofiarował mi wszystkie książki ze swojego wydawnictwa, żeby mi się nie nudziło. Powiedziałem mu że mam czytać przez trzy lata, a że w jego katalogu jest przeszło trzytysiąc książek, więc taka przesyłka przysłałaby się raczej dla skazanego dożywotnio. Że jednak książki „Roju” bardzo nadają się jako lektura do uła, przeto będę mu wdzięczny jeżeli mi przysle do siebie przysłać. Po przeczytaniu przekazałem je bibliotece więziennej. Pewnie nie przeczytam wszystkich, bo mam zamiar siedzieć nie dłużej niż pół roku. Wybrałem z katalogu sto książek; obiecał że mi je przysła do więzienia i solennie tego dopełnił.

Miałem osiąść w więzieniu moko-towskim. Było to więzienie niejako reprezentacyjne, podobnie jak gimnazjum Stefana Batorego. To samo już przez się dobrze wrożyło i potwierdziło moją ocenę sytuacji. Stawiałem się w wyznaczonym dniu i godzinie przez bramę więzienia z wielkim tobołem i wylegitymowałem się dokumentem prokuratora, jako osoba ustrawiona by tam zamieszkać. Mie-szkalem tak około 8 miesięcy.

ta reamego, są przedstawione po to by nadać znaczenie czemuś jakby z innego świata metafizycznego, do którego nie należą; są przedmiotami które można dobrać do przestawiać, usuwać lub kłaść gdzie się komu spodobą, a co wcale nie znaczy by tamten świat, transcendentálny, miał przez to ulec zburzeniu. Wszystko wygląda na przemysłane, wyszukane, matematycznie wykalkulowane, ułożone w formie rebusa. Na płótnie nie dostrzeżę się ani śladu dynamiki, wszystko znajduje się tam na właściwym miejscu, sparalizowane, nieruchome, tyczne, jak gdyby moc tajemnicza, na chwilę, na mgnienie oka, pogwałciła prawa samej natury odwiecznego ruchu, przeciągając ten prowizoryczny stan w nieskończoność.

Słyszałem takie powiedzenie o Salvadorze Dalí że uchodzą za malarza mistycznego naszej doby, jest stałe tym samym Salvadorem Dalí z poprzedniego okresu, z okresu surrealistycznego; jego hałaśliwe nawrócenie się na mistycyzm jest czymś właściwie nieprawdziwym, jak na przykład hieroglificzne tytuły jego obrazów: „Angel explotado armonicamente” czy „La asunción corpuscular en lapizazul”. Charakter mistyczny tych obrazów, w prawdziwym znaczeniu religijnym, jest pod znakiem zapytania i godziną, z uprzejmym policzeniem 10 dni, nie od dnia przekroczenia granicy, ale od zgłoszenia się u niego. Miałem więc przed sobą cały ten czas do rozporządzenia. Zgłosiłem się od razu do sekretarza generalnego P.P.S. Pużaka, który rezydował przy ul. Wareckiej, w tym samym domu, co redakcja „Robotnika”. Zastąpiłem tam Arciszewskiego, przywitaliśmy się bardzo serdecznie. Pytali o Liebermana, dziwili się że postanowił nadal pozostać „na emigracji”. Byłem też na najbliższym posiedzeniu komitetu okręgowego Warszawa - Podmiejska, skąd poskowiłem przez 10 lat, aby przywitać się z nie widzianymi od dwu lat z górą towarzyszami. Wreszcie poszedłem do Wolnej Wszechnicy Polskiej, by złożyć wizyty rektorowi Wiewegerowi i dziekanowi Gliwiciowi i wyraziłem nadzieję, że będę mógł chyba po niedługim czasie powrócić do pracy. W „Ziemiańskiej” spotkałem Kistera, dyrektora „Roju”, który gdy dowiedział się, że za kilka dni mam pójść do więzienia, wpadł w pasję i ofiarował mi wszystkie książki ze swojego wydawnictwa, żeby mi się nie nudziło. Powiedziałem mu że mam czytać przez trzy lata, a że w jego katalogu jest przeszło trzytysiąc książek, więc taka przesyłka przysłałaby się raczej dla skazanego dożywotnio. Że jednak książki „Roju” bardzo nadają się jako lektura do uła, przeto będę mu wdzięczny jeżeli mi przysła do siebie przysłać. Po przeczytaniu przekazałem je bibliotece więziennej. Pewnie nie przeczytam wszystkich, bo mam zamiar siedzieć nie dłużej niż pół roku. Wybrałem z katalogu sto książek; obiecał że mi je przysła do więzienia i solennie tego dopełnił.

Miałem osiąść w więzieniu moko-towskim. Było to więzienie niejako reprezentacyjne, podobnie jak gimnazjum Stefana Batorego. To samo już przez się dobrze wrożyło i potwierdziło moją ocenę sytuacji. Stawiałem się w wyznaczonym dniu i godzinie przez bramę więzienia z wielkim tobołem i wylegitymowałem się dokumentem prokuratora, jako osoba ustrawiona by tam zamieszkać. Mie-szkalem tak około 8 miesięcy.


POLSKIE BIURO PODRÓŻY
FREGATA
Bilety — Sprowadzanie osób z Polski — Opieka w drodze — Emigracja — Wyjazdy i przekazy pieniężne do Kraju.
U.S.A.: 509 Fifth Avenue, NEW YORK 17
WIELKA BRYTANIA: 122 Wardour St., LONDON, W.1

Adam Pragier.

Henryk-Czesław Sliwinski.

161